



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Agnieszka Helwich.

Przerwała się nie szlachetnego, zasłużonego istnienia: w ostatnich dniach ubiegłego miesiąca założycielka i przełożona Schronienia Nauczycielek, Agnieszka Helwich, odeszła na odpoczynek wiekuisty, zostawiając po sobie żal tak tych, którzy byli winni jej wdzięczność, jak i wszystkich umiających cenić życie czyste, poświęcone pracy użytecznej i miłości bliźniego. Zawód nauczycielski, spełniany z przejęciem się jego ważnością, jego znaczeniem humanitarnym, jest kapłaństwa blizki, bo umysł rozświecać, serca urabiać do uczuć czystych i podniosłych, — czyż nie jest namaszczeniem uświęcającym? Zmarła tak pojmowała powołanie swoje. Zyskując sobie miłość i wdzięczność nauczanych, szanowana przez wszystkich, szła przez życie z tą pogodą i zadowoleniem cichem, jakie wyrabia zawsze w człowieku uczucie spełnianego uczciwie obowiązku, a że serce jej było gorąco, umiała więc rozbudzać ciepło serdeczne w kształconej przez siebie młodzieży. Posiadać ten dar — to razem szczęście i cnota: tak też i z nią było; praca jej nie ciążyła; rozumna, umiała rachować się z warunkami położenia swego, i ten-to przymiot dał jej możliwość spełnienia dobrego uczynku, przez który zaskarbiła sobie zasługę przed Bogiem i ludźmi.

Wiedziała z doświadczenia własnego, że zawód nauczycielski lekkim nie jest, że nie zawsze pozwala pracującej na tem polu kobiecie zapewnić sobie przyszłość; przecież warunki, jakie umiała sobie wytworzyć, były stosunkowo lepsze: posiadała z zebranych oszczędności kapitał niewielki, ale

zabezpieczający starość od głodu i chłodu, — od łaski miłosierdzia ludzkiego. Czy przecież wszystkie towarzyszyki jej losu znajdowały się w położeniu takim? Dobra i rozumna, ryzykując z odwagą szlachetnego serca mienie swoje, które było chlebem jej starości, założyła w 1880 r. Schronienie Nauczycielek, stając się przełożoną tej instytucji, której poświęciła wszystkie siły swoje.

Przez lat trzynaście była siostrą, przyjaciółką, matką niemal dla setek kobiet samotnych, między którymi znajdowało się wiele młodych, niedoświadczonych, nieumiejących sobie radzić, bo nie znających jeszcze życia z tych jego stron rozmaitych, wobec których trzeba wydobyć sobie z piersi męstwo, a serce pancerzem silnej woli opasać. Nauczała, krzepiła, ale sił brakować już zaczynało, i blisko rok temu zdała kierownictwo zakładu p. Józefie Kamockiej, nie przestając niemniej zajmować się duszą całą pomyślnością instytucji i pełniąc wszystko, co było potrzebą jej szlachetnego serca, jak dowodzi tego jej śmierć. Zajmując się chora, opieki potrzebującą nauczycielką, wpadła w chorobę: dostała zapalenia płuc, a że sędziwą już była, przeszło siedemdziesięcioletnią, oczy jej zamknęły się nazawsze, ale zostało wspomnienie jej szlachetnie pędzonego istnienia, pozostał jej przykład, jak można wśród okoliczności życia cichych, nieokazałych, pełnić wysokie cnoty miłości bliźniego i zostawić po sobie ślad wybitny, który ukazywać będzie innym kierunek życia podniosły.

Pogrzeb jej świadczył, jak szanowaną i kochaną była. Trumnę, złożoną w kościele przy ulicy Freta, pokrywały wieńce przesłane od tych, którzy znali i cenili jej pracowite i szlachetne, wysoce pożyteczne istnienie. Rano odprawioną została przy jej trumnie uroczysta msza żałobna, po południu nastąpiło wyprowadzenie zwłok na cmentarz powązkowski, i tu przemówił ksiądz Chel-

micki, podnosząc ciche, przecież wysokie, cnoty zmarłej: jej miłość bliźniego, jej poświęcenie się i miłosierdzie dla cierpienia ludzkiego, jej zasługi na polu pracy nauczycielskiej. Nietylko oświecenie umysłu miała tu ona na celu: umiała przenikać serce młode; umiała zapalać tam miłość dobra, wytwarzać cześć dla tego, co jest wśród ludzkości cnotą szlachetności podniosłej.

Mogło to uderzać oczy ludzkie, że wśród tych oznak czci pośmiertnej brakowało na trumnie wieńca od nauczycielek; nie było to przecież brakiem wdzięcznego uznania dla zmarłej, lecz tylko inną formę tu wybrano. Nauczycielki złożyły na ręce p. Kamockiej 40 rs., przeznaczając jedną połowę tej summy na nagrobek dla zmarłej, drugą na zapomogę dla Schronienia, które jest i pozostanie przez wszystkie lata swego istnienia pomnikiem jej dobrego serca, jej współczucia dla tych pracownic, co-to stając matkom do pomocy w wychowaniu przyszłego pokolenia, stają się użytecznymi dla ogółu. Że cześć dla tej zasłużonej nie zamykała się wyłącznie w kole jej towarzyszek pracy, świadczy o tem ofiara mężczyzny, F. Żórawskiego, który na drugi dzień po pogrzebie przesłał do redakcyi *Słowa* rs. 50, pisząc, że zmarła ma prawo do tego, aby uczczoną była pomnikiem wzniesionym na jej grobie, — pomnikiem któryby świadczył o jej zasługach i wyrażał uznanie, do jakiego miała prawo.

M. Ilnicka.

Kwestya kobieca.

Broszurka nieduża, skreślona piórem kobiety, p. I. Z, ukazała się, w druku pod tytułem: „Kwestya kobieca“; jest to przecież głównie kwestya stanowiska matki w rodzinie—kwestya wychowania macierzyńskiego w stosunku do pracy, do działalności kobiety w społeczeństwie. Autorka pisze we wstępie, że kobieta została zepchnięta przez samolubstwo mężczyzny i siłę jego pięści na stopień istnienia niższy, a obłudne deklamacje tych, którzy pozbawili ją wpływów na życie społeczne, wynalazły na jej użytek górnolotne frazesy o godności gospodyni domu, zasłaniające zależność położenia straconej w dół życia. Poważano głównie dobrą gospodynię wskutek jej pożytecznej siły roboczej w gospodarstwie społecznym; możnaby przecież zapytać autorkę, zali nie zawsze i nie wszędzie szacunek ludzki zależał od tego, co człowiek przynosił ogółowi i co nazywane jest zasługą? Przyznaje ona sama, że wytwarzanie artykułów spożywczych w domu było w owe czasy koniecznością, dodając przecież, że kobieta była wtedy niewolnicą domową, lecz dziś przy postępie przemysłu, gdy „maszyna wystąpiła jako wytwórczyni, zwiastując szczękiem i zgrzytem kół swoich ucziłowienie i niezawisłość kobiety, powinno działać się inaczej.“

Autorka stawia przecież kobiecie zarzut, że nie dość korzysta ona z tych nowych warunków życia, że „snadź nie żąda nauki, nie otwierając się przed oczyma ślepych ideały równouprawnienia wywołały ruch emancypacyjny.“ Dowodząc, iż „matka jest naturalną wychowawczynią i opiekunką dziecka tylko do chwili, gdy istnieje między niemi zależność fizjologiczna,“ nie uważa jej tego za obowiązek, aby przykuta do ogniska rodzinnego pełniła obowiązki wychowawczynie. Zadanie wychowania duchowego nie wchodzi zatem, podług niej, w zakres obowiązków macierzyńskich. „Było tak dawniej, wtedy, gdy przy niższym stanie cywilizacji brakowało odpowiednich zakładów wychowawczych i nie znano podziału pracy.“ Uważając też wychowanie za jeden z licznych zawodów działalności ludzkiej, oddaje tu wyższość specjalistom, nie biorąc bynajmniej tego w rachunek, co jest tu działaniem uczucia na uczucie—co jest wpływem ciepła serdecznego.

Autorka zdaje się sztydzić z tego, nie rozumie znaczenia miłości, i pierwszy to jest u nas głos kobiety, który się ozwał w ten sposób. Wprawdzie to, co nazywa podziałem pracy, istnieje i istniało w wychowaniu od wieków, ale w formie zupełnie innej. Kobieta, jak sięga pamięć ludzka, miała zawsze powierzonym sobie dziecko do wychowania, a że matka kocha miłością, może najsilniejszą, jaką serce jej czuć zdola, więc, jak ptaszyna otula skrzydłami pisklęta, tak ona otacza opieką tkliwą istotkę tę delikatną, której potrzeba jest serdecznego ciepła, aby rozwijała się moralnie i fizycznie w sposób pożądaný. Przychodzi przecież chwila, w której matka musi przyzwać sobie do pomocy w wychowaniu osoby ze specjalnym w pewnych gałęziach wiedzy uzdolnieniem: czas to jest nauki, ale następuje tu tylko podział pracy.

Nauczanie wnosi w umysł młody pewne wiadomości, oświeca go, i niemałego znaczenia działanie wychowawcze jest tu złączone nie tylko z tem, czego dziecko nauczamy, ale jak je nauczamy i matka powinna to wiedzieć, rozumieć, stać tu uważnie na straży. — Sposób, w jaki to się odbywa, ma wpływ wielki — nie tylko na większą, lub mniejszą korzyść wiedzy naukowej, ale na rozwój umysłu, na rozwój moralny. Wybór nauczycieli, pierwszych zwłaszcza, nauczycieli domowych, znaczy niezmiernie wiele, i rodzice rozumieć to powinni, a matki obowiązkiem jest czuwać tu szczególnie. Matka uważna i tkliwie dziecko kochająca obserwuje je i przegląda, zna je tak, jak nikt inny znać nie może, ale trzeba jeszcze, aby miłość macierzyńska nie zaślepiła jej. Wychowanie zasadza się z natury rzeczy na obserwacji i wnioskach z niej wyciągniętych; każdy człowiek

jest to świat moralny w sobie zamknięty i matka powinna to wiedzieć, — powinna brać to w rachunek, bo obowiązek to jej, na którym opiera się wychowanie, jakkolwiek autorka *Kwestyi kobiecej* pisze, że „tak samo, jak nie wszyscy mężczyźni przechodzą na świat z zarodkami uzdolnień na krawca, szewca lub malarza, tak podobnie nie każda kobieta przynosi ze sobą powołanie do zawodu pedagogicznego,“—dodając, że „uzdolnienie do wychowywania nie każdy otrzymuje.“

Snadź autorka nie bierze w rachunek sił uczucia, miłości macierzyńskiej, odsuwa na bok pojęcie obowiązku i sądzi według swego na życie poglądu, że obecnie nikomu zapewne na myśl nie przyjdzie inaczej rzeczy te pojmować. Czy przecież patrząc w koło siebie taki układ życia rodzin widzi? Czy nie zna matek dobrych, matek uczciwych, które ważność zadania swego odczuć i zrozumieć są zdolne? *Przegląd pedagogiczny* odpowiada jej, że jeżeli specjalista więcej umie, matka mocniej kocha i w tej to miłości „jest siła, która rozmaitym sposobem oddziaływała na dziecko“ i w czem „z pewnością nigdy obca nie dorówna jej osoba“. Autorka widzi przecież w kobiecie istotę tak przygniecioną przez mężczyznę, oraz przez układ życia, który mężczyzna ten wytworzył, że uważa ją za zniechęconą, umysłowo. Jestto według niej obecnie tylko „siła robocza“, bezmyślna, bezwiedna, którą przecież twarda logika faktów pcha naprzód. Postęp przemysłu zniszczył dawną produkcyjną pracę kobiet, może więc zatem, a nawet według autorki „powinna myśli swe i uczucia wyswobodzić z ciasnego zakresu domowego i przenieść je z rodziny do ludzkości“.

Czy jest tak rzeczywiście? Czy kobieta, której serce ogrzeje się u ogniska rodzinnego, która nauczy się poświęcać samolubne chęci i dążenia obowiązkowi, pojętemu jako prawo moralne, rządzące całą ludzkością, — mniej będzie zdolną do szlachetnego pojęcia obowiązków społecznych i serce, które nauczyło się od młodu bić nie samolubnie, czy nie będzie lepiej urobione do miłości ogółu swego, ludzkości, niż gdyby zimne i martwe zastygło w piersi chłodnej? Dziecko uczy się kochać matkę przez wdzięczność za trud w jego wychowaniu ponoszone, uczy się kochać rodzeństwo pod siłą tkliwego oddziaływania serca na serce, uczucie wyrabia się w człowieku, dzięki tym wpływom rodzinnym i miłości, ta siła, która góry przenosi, jest cementem, który spaja rodziny i społeczeństwa — ludzkość. *Przegląd pedagogiczny* nie myli się też, pisząc, że dzięki sile uczucia, to, co jest psychicznym oddziaływaniem matki na dziecko, nie znajduje nic równego sobie pod względem siły i trwałości. Trzeba tylko, aby matka umiała wychowawcze zadanie swe spełniać. Szkoła oświeca umysł i usposabia go przez to do samodzielnego sądu o rzeczach życia, do samodzielnego wyrokowania, co tu jest złe, lub dobre; matka wytwarza w dziecku przyzwyczajenia, rozbudza uczucia i daje kierunek skłonnościom, z czego wytwarza się wolna charakter.

Rozumie to ogół. O człowieku szorstkim, nie- delikatnym, mówi się zwykle, że jest złe wychowanym, chodzi tu tylko o formy zewnętrzne, ale i to, co jest wewnątrz, wytwarza się w części bardzo znacznej przez kierunek, jaki dało tu wychowanie. Można skłonności wrodzone zatłumić, lub rozwinąć je, można przez dany kierunek uczuć i myśli wytworzyć to, co nam się przedstawia jako skłonność naturalna i trzeba też zwrócić uwagę dziecka na strony życia wyższe, trzeba ukazać mu, co tu jest piękności szczytnych, aby wzrok jego nie przykuł się jedynie do rzeczy poziomych. Tysiące wpływów najrozmaitszych działa w życiu na każdą istotę ludzką, ale wychowanie wyrabia skłonności, które stanowią o tem, co nam wśród tego do serca, do chęci naszych przypada, a czemu opór stawiamy. Do wpływów wychowania odnieść trzeba to zdanie poety myśliciela: „My rządźmy światem a nami kobiety,“ a że siłę oddziaływań wychowawczych pojmują sfery wszystkie, świadczy przysłowie ludowe o znaczeniu tego, czem skorupka za młodu nasiąknie. Jest i drugie: „jaka mać, taka nać.“ i niewątpliwie rodzina, której naczelniczką jest kobieta, może stać się szkołą wszystkiego, co ludzkość za dobre i świę-

te uważa, i gdy razem obejmie się myślą to, co jest tu współdziałaniem kobiety, nikt nie powie, że do- stała jej się w społeczeństwie rola niższa. Kwestya kobieca—to ogólna kwestya ludzkości: wartość i znaczenie człowieka ocenia się przez to, co przynosi do ogólnego skarbu społeczeństwa i o ile rodzina, której kobieta przewodniczy, staje się szkołą cnót i uczuć humanitarnych, o tyle zyskuje prawo do szacunku i wyższego stanowiska wśród ludzkości.

M. I.

Alfred de Vigny.

BUTELKA W MORZU.

Rada nieznanemu młodzieńcowi.

I.

Odważy, słabe dziecko, co w samotnię moją
Śpiew bez nazwy, żałobą tchnący wskrós ko-
[biec].

Rzucasz przed oczy zćmione twardą wiedzy zbroją
Zapomnij tych, co dumnie piętnem śmierci świeca,
Zapomnij Czattertonów, Malfilatrów rody;
Święte dzieło przyszłości czcząc, pełen pogody,
Zapomnij siebie w sobie.—Posłuchaj mnie nieco:

II.

Gdy dzielny żeglarz widzi, że wiatr go przemaga,
Że runął mu las masztów, zmałała osada,
Że w walce tej przy morzu zostanie przewaga
I że duch rachubami próżno odpowiada;
Że prąd na śmierć go niesie w złowrogim kierunku,
Że on już nie ma steru, a więc i ratunku,—
W spokoju dumnym ręce na piersiach zakłada.

III.

Widzi te massy wody, co nim, gdzie chcą, kręcą,
Pogardza niemi, wiedząc, że będzie ich łupem,
Kładzie duch swój na wagi z materją zwierzęcą
I razem ze swym statkiem czuje się już trupem.
— Są chwile, kiedy duszy brak odpornej mocy;
Mędrzec zamknie się w sobie i czeka pomocy
Tylko od silnej wiary, co mu pewnym słupem.

IV.

O wieczornej godzinie ów kapitan młody
Zrobił, co było można dla swoich ochrony.
Śladu żadnego statku na przestrzeniach wody,
Noc spada, a bryg pędzi w skał indyjskich strony.
— Zrezygnował, modli się; zdaje się na władzę
Tego, który bieguny trzyma w równowadze
I równik południków pręgami zjeżony.

V.

Ofiara już spełniona; lecz trzeba dla ziemi
Ocalić pomnik pracy, nim ich schłonie zamęt.
To dziennik uczonego z liczbami ścisłemi,
Droższy nad perłę świetną, nad bezcenny djament;
To mapa wód tych, zdjęta śród orkanu wycia,
Mapa skał, kędy jemu nie ujęć już rozbicia,—
Dla przyszłych podróżników podniosły testament.

VII.

Pisze: „Dziś, prąd nas wlecze, jakby kawał dre-
[wna],
Bez masztów, żagli, steru, ku Ziemi Ogniowej.
Kierunek prądu wschodni. Śmierć nasza jest pe-
[wna].
Bierz na północ, chcąc minąć raf groźne ostrowy.
— Dodaję tu mój dziennik, w nim garść wiadomo-
[ści]
O konstellacyach pod tym stopniem szerokości.
Jeśli Bóg da, do ładu zagna to prąd nowy“

VII.

Potem, zimny, spokojny, jak ów mgieł przyładek,
Co się nad Magellana cieśniną wylania,
Posępny, jak te skały w koronie pian-prządek,
Jak te szczyty, gdzie przylgły wdów Kastylskich
[łkania,
Otwiera z najmocniejszych wybraną butelkę;
A tymczasem prąd statek niesie, niby belkę,
Coraz ciśniejszem kołem wirując, jak kania.

VIII.

Trzyma tę towarzyszkę uczt minionych dawno,
Pewną ręką zamyka jej łono zczerniałe.
Na pieczęci znać jeszcze tarcz Szampanii sławną,
Pianą z Reims wnętrza szyjki wyłożone całe...
Nagle jedno spojrzenie obraz mu odsłoni
Dnia, gdy całą załogę swą zebrał koło niej,
By wzniesć toast na flagi ukochanej chwałę.

IX.

Wstrzymano bieg okrętu. Było-ż wielkie święto!
Każdy na maszcie swoim puhar miał nalany;
Czapki—na jego sygnał—z głów ochoczo zdjęto
I grzmiący wiwat pomknął nad morza bałwany.
Słońce uśmiechem jasnym biel żagli złociło;
Powietrze drgało głosów męzkich, szczyrych siłą,
Pozdrowieniem człowieka—ziemi ukochanej.

X.

Po okrzyku ogólnym—kolej marzeń cicha.
Z pian z Ai każdemu błyska szczęścia po iskrerce;
Każdy Francją swą na dnie znajduje kielicha.—
Francja—to dla każdego, za czem tęskni serce:
Jeden starego ojca widzi przy kominie,
Jak czeka go, dni licząc, w pasterskiej chatynie,
Widzi puste swe miejsce przy siostrze pasterce.

XI.

Drugi widzi znów Paryż, gdzie córeczka mała
Zaznacza zmiany wiatru z pomocą busoli,
Łzami szkło nad igielką rzewnymi oblała
I chce magnes żelazem zwrócić podług woli.
Inny widzi Marsylią. Staje przed nim żona,
Jak biegnie, z brzegu chustką wieje rozżalona
I nie czuje, jak w wodę zstępuje powoli.

XII.

O przesady miłości, dziwne, tajemnicze,
Szepty serc, które nam się zdajećie głosami!
Rachuby ściste wiedzy, o bańnię zwodniczel!
Czemu wasze widziadło tylekroć nas mami?
Czemu coraz nam siódła zastawiacie nowe?
Nadzieje, równie nikłe, jak kule śniegowe,
Rosnące i tające nam wnet pod palcami!

XIII.

Gdzież jest teraz, ach, gdzież jest owych trzystu
[dzielnych?
W prąd wściekły ich wichura zmiotła rozszałała,
Harpunom Indyan niosą resztki swych śmiertel-
[nych
Szczątków, szat zdarte szmaty i zastygłe ciała.
Oficerowie pierwsi zginęli w orkanie,
Toporami strzaskane rąbiąc masztowanie:
Tak, z trzechset, drobna garstka — dziesięciu —
[została!

XIV.

Kapitan patrzy jeszcze, gdzie biegunów strona,
Kędy nieznanych odkrył przepływów cieśniny.
Wodę już ma do kolan, już ponad ramiona;
Wznosi rękę ku niebu, nad wodne równiny.
Statek jego zatonał, życie się spełniło;
Rzuca butelkę w morze—i wita z mogiłą
Dni przyszłości, co swe mu otworzą dziedziny.

XV.

I uśmiecha się, marząc, że szkło kruche owo
Zaniesie imię jego i myśl do przystani;
Że ono ziemię zwiększa jedną wyspą nową,
Zaznacza nową gwiazdę na niebios otchłani;
Że Bóg może pozwolić falom wścieklej wody
Chłonać ludzi i statki, lecz nie ducha płody;
Że oparł się tą flaszką—śmierci, świata pani.

XVI.

Stało się. Teraz niechaj Bóg ją ma w opiece!
Nad statkiem pochłoniętym fal opadły grzywy.
Prąd wschodni—zachodniego ustępuje rzece,
I butelka się buja w kolebce wrzawliwej.
Sama, wątła, wśród sprzecznych oceanu prądów;
Żaden wiatr jej nie wskaże, kędy szukać lądów:
Lecz ona idzie z arki, z gałązką oliwy.

XVII.

Prądy ją unosiły, kra wstrzymuje, w śniegu
I lodu płaszcz ją tuli biały, nieprzezroczny.
Szyk czarnych koni morskich potraça ją w biegu,
Powraca, wietrząc, co to, i trwożnie się boczy.
Ona czeka, aż lato zmieni przeznaczenie
I lodów jej otworzy opornych więzienie.
Wtedy ku ciepłym strefom z falami się toczy.

XVIII.

Kiedys—dzień był spokojny—i toń morza lśniła
Falami z dyamentów, złota i szafiru,
Zwrotnikowego świetność odbijała słońca.
Majestatyczny statek mknął z wiewem zefiru;
Spostrzegł świętą żeglarzom butelkę na fali:
Wnet maszt barwnych sygnałów znakami się pali,
Łódź spada, statek staje wśród nagłego wiru.

XIX.

Lecz oto dział korsarskich w dali wrzawa dzika;
Handlarz Czarnych ucieknie, gdy mu wiatr po-
Naprzód! topcie nędznego tego przeciwnika! [może.
Topcie złoto i katów, co kalają morzel
Fregata, zbiera łodzie, rzuca je w swe łono,
Jak dydelf drobną dziatwę, kiedy go strwożono,
I—żaglami i parą—mkną przez fal bezdroże.

XX.

Sama na oceanie, sama wciąż!—Zgubiona
Jak punkcik niedojrzalny w pustyni ruchomej,
Awanturница błędna, przebiega mór łona
I odkrywa nieznane przyładki, załomy.
Skazana na wędrówki po wodnej przestrzeni.
Od roku już nie czuje słonecznych promieni:
Pod płaszczem alg i morskich znikł jej kształt
[widomy.

XXI.

Aż raz w wieczór, nareszcie, od Florydy wiatry
Przygnały ją do Francji omglonych wybrzeży.
Rybak biedny, z nadbrzeżnej z desek zbitej szatry,
Znalazł ją niespodzianie na dnie swych więcierzy.
Biegnie do uczonego, chwali się zdobyczą
I, bojąc się otworzyć flaszkę tajemniczą,
Pyta: jak ten elixir zwać, cenić należy?

XXII.

Co to jest za elixir? Rybaku, to wiedza,
To elixir ów boski, który piją duchy,
Skarb, gdzie myśl z doświadczeniem wzajem się
[wyprzedza.
Gdybyś, rybaku, złowił w sieci swych łańcuchy
Wszystko złoto, co w żyłach swych kryją Meksyki,
Wszystkie Indyi dyamenty i perły Afryki,
Twój połów mniej-by wart był od tej flaszki kru-
[chéj.

XXIII.

Patrz.—Jakie uniesienie wrzące, nieudane!
Jedna więcej znów sława ludowi przybywa.
Dział rozhuki potężne, dzwony rozbujane

Wstrząsają w sercach wzruszeń najszybsze ogniwa.
Dziś bohaterom wiedzy raczej, niż pól bitwy,
Pogrzebów narodowych należą modlitwy.
Czytaj napis na murach: „Pamięć wiecznie żywa!”

XXIV.

Pamięć! chwała odkrywcom torów niezdobytych,
W człowieku czy w naturze, równych w głęboko-
[ści,
W źródłach cnoty i dobra wpół ledwie odkrytych,
W sztuce niewyczerpanej, w otchłani świetności!
Czemże niepamięć, jady, cieni zniwagi krwawy,
Lody i uragany tej ziemskiej przeprawy?
Na głazach grobów dęby wzrastają wielkości.

XXV.

To najpiękniejsze drzewa ziemi obiecaj,
To, rodzie myślicieli, twe morskie latarnie!
Żegluj bez próżnej trwogi, by wiatr lub bałwany
Skarbu twego w topieli nie zgubiły marnie.
Złoto czyste wypłynie, blask jego nie zginie;
Mówią, jak ów kapitan w konania godzinie:
„Jeśli Bóg da, do ładu fala to przygarnie!”

XXVI.

Bóg prawdziwy, Bóg mocny, jest to Bóg idei.
Na skroń, gdzie los nam rzuca zarodków miliony,
Zlewajmy deszcze Wiedzy w żyźniacej kolei;
Potem, zebrawszy w duszy wzrastające plony,
Całe przejęte wonią samotności świętej,
Rzucamy dzieło w morze, w narodów odmetę:
— Bóg sam je do przystani zawiedzie pragnionej.

Z francuskiego przełożył

Mirian.

KOBIETA W STAROŻYTNYM RZYMIE.

przez

Józefę Żdzarską.

III.

MATRONA.

Nie sama tylko dziewica, ale kto wie czy przede-
wszystkiem nie matrona, z całą powagą panuje
w Atryum. Tak jest: ona najbliższej zasiada przy
ognisku domowym i równie jak dziewica nigdy
go nie odstępowała, od najdawniejszych czasów, aż
do ostatecznego upadku Rzeczypospolitej.

Chcąc jej obraz przedstawić, musimy się cofnąć
do najdawniejszych czasów, do porwania Sabin-
nek.

Dawne pokolenia, zamieszkujące środek Italii,
w chwili wznoszenia się Rzymu nie chciały od-
dać córek Rzymianom, jako zbiegom, obcym przy-
byszom. Romulus więc używa podstępów, by podda-
nym swoim dać żony. Wyprawia na święto
Konsusa, boga zasiewów, igrzyska, na które zne-
ceni ciekawością, szczególniejsz Sabinowie, tłumnie
z żonami i córkami przybywają.

Kiedy zapasy odbywały się w najlepsze, król
okrył się togą purpurową, a na ten znak umówio-
ny, Rzymianie z okrzykiem wojennym rzucają się
w tłum i porywają córki swoich gości, zdobywając
je z lancami w dłoni. Jest to pierwotne zawarcie
małżeństwa rzymskiego. Tu leży właśnie trady-
cyjne znaczenie tego prawa, jakiego Rzymianin
nabywał nad żoną, zdobywając ją przemocą. Po-
rwane Sabinki, oburzone tym czynem swych zwy-
cięzców, oddają się rozpacz; ale król uspakaja
je łagodnie, zapewniając, że przypuszczone zosta-
ną do wszystkich praw i dobrodziejstw wspólnych
obywatelom rzymskim, jako matki przyszłych bo-
haterów Romy. Dzielni młodzieńcy rzymscy, pra-
wie ze złożonymi rękoma prosili żon o przeba-

czenie, przyrzekając im najtkliwszą miłość. Więc też kiedy matki i ojcowie w grubej żalobie błagali z jękiem miasta sąsiednie o pomoc, ich córki z uśmiechem szczęścia nie odpychały już dzielnej młodzie, która do swoich przyprowadziła je ognisk. Czyż ten fakt nie był niby wojenną przegrywką do zaborczych wojen, które uczyniły Rzym panem świata?

Pierwsi Ceninowie i Antemnaci, którzy podnieśli broń, by pomścić porwane córki, ulegają jego sile. Ale matrona rzymska również wcześniej otrzymuje władzę moralną nad mężem, bo na jej wszechpotężną prośbę zwyciężeni zostają obywatelami Rzymu.

Porażka Ceninów i Antemnatów nie odstraszyła dalszych Sabinów; opanowawszy zdradą niegodnej Tarpei Kapitol, wdarli się do samego Rzymu. Kiedy walka najsilniej wrzała, Sabinki, z rozpuszczonymi włosami, w sukniach w nieładzie rzucając się wpośród walczących, błagając ojców i mężów swoich, by się nie stawiali zabójcami, jedni—ojców, drudzy—zięciów i przyszłych wnuków.

Wzruszenie ogarnia walczących, wreszcie naczelnicy obu wojsk podają sobie ręce, i dwa narody miłością bratnią zlewają się w jeden.

Sabinki, już jako panie ognisk domowych, przyjmują ojców i braci z patryarchalną gościnnością, przedstawiają dzieci swoje, gaszą pragnienie i głód ukochanych, obmywają i obwiązują ich rany.

Odtąd Sabińczyk i Rzymianin większą jeszcze tklivością otaczają żony, pośredniczki pokoju i braterskiego związku.

Król daje przykład czci dla kobiety, nadając trzydziestu kurjom, na które lud podzielił, imiona Sabineek.

Na ulicy Rzymianin, spotkawszy kobietę, ustępował jej honorowego miejsca. W jej obecności, pod surową karą, nie wolno było wymawiać słów obrażających jej godność i niewinność niewieścią. Oskarżona, nawet o występki, nie staje przed zwykłym sędzią.

W traktacie zawartym pomiędzy Sabinami i Rzymianami, położono głównie nacisk na to, że żony Rzymian, pochodzenia sabińskiego, nie będą gotowały, nie będą meły ziarna, zajmując się wyłącznie przedzeniem wełny.

Cała przyszłość kobiety rzymskiej w tem się zawiera.

Pomimo tego, zostaje kobieta pod władzą męża.

Porwane Sabinki, nie tylko moralnie, ale i pod względem cywilizacji, wyżej stały od mężów. To im nadało pewną władzę nad nimi: więc też z niewolnic stały się paniami ogniska domowego, a w przyszłości doradczyniami i przyjaciółkami szanowanymi.

Na początku królestwa rzymskiego obywatele Romy, złożeni z rozmaitych przychodniów, żenili się z cudzoziemkami, w późniejszym jednakże czasie—wyłącznie z kobietami, których ojcowie otrzymali byli prawo obywatelstwa rzymskiego. Dzieci jednakże zrodzone z cudzoziemek używały praw ojcowskich.

Małżeństwo pomiędzy patrycjuszami a plebejuszami było wzbronione. Prawo jednakże to zostało zniesione za trybuna Kanulejusza.

Wuj nie mógł zaślubić siostrzenicy, ciotka—siostrzeńca. Zobowiązanie zgodą powinna była istnieć pomiędzy nowożeńcami a naczelnikami rodzin.

Dziewica sama mogła wybierać męża, odrzucić niemilego.

Sierota po śmierci ojca swobodnie rozporządzała swoją ręką.

Późniejsze prawa ograniczyły wiek nowożeńca do lat 14, panny młodej do 12, mogli przytem zaręczać się wcześniej.

Zaręczyny były ważne; niewierna narzeczona uważana była za niewierną żonę.

W początkach, tak narzeczony, jak narzeczona, zrywający umowę przedślubną, ulegali karze pieniężnej.

Narzeczona nazywała się *sponsa* (przyrzeczona). Pierścień żelazny, który narzeczony wkładał na palec dziewczicy, zamieniony został na złoty.

Uczta kończyła zaręczyny. Najmniej zamożne domy przybierały w czasie zaręczyn postać wesołą, świąteczną.

Posag narzeczonej składał się z monety miedzianej, której nie liczono, ale ją ważono. W razie niemożności rodziców, klijenci składali się na posag. Sieroty po bohaterach i mężach stanu rząd wyposażała.

Rodzina traciła władzę nad kobietą zamężną. Zonatego syna ojciec nie miał prawa sprzedawać.

Matrona (była to ogólna nazwa kobiety zamężnej), dziedziczyła po ojcu, pod opieką jego krewnych.

Małżonkowie nie mieli wzajemnie prawa do swoich majątków; przeciwnie, matrony dziedziczyły po opiekunach i wzajemnie ci ostatni mieli prawo do spadków po swoich pupilkach.

Zaślubiny odbywały się w Atryum, przy ognisku domowym. Tu się znajdowały dary rodzinne, portrety przodków z wosku, wyciśnięte z twarzy umarłych.

Wielki kapłan Jowisza uczestniczył zaślubinom, w towarzystwie dziesięciu družbów.

Kiedy nowożeńcy szli do ołtarza, niesiono przed nimi ciasto przygotowane przez Westalki. Było to godło jedności małżeńskiej, poświęceń wspólnych.

Po poświęceniu wieprza i baranka nowożeńcy siadali na stołkach obok siebie stojących.

Jeżeli piorun zagrzmiął w czasie uroczystości, ceremonia ślubna nanowo się powtarzała.

Rozwód otrzymywano z trudnością.

Zaręczyny i ślub nie odbywały się w dniach feralnych. Dom narzeczonej, świątecznie przybrany, otaczał tłum ludu.

Na towarzyszącą, wspólną tak mężczyźnie, jak matronie, panna młoda, zarzucała drugą, również białą, ujętą w stanie paskiem białym, związanym w węzeł, zwany *cestus herculeus*. Welon, barwy płomienistej, spadał na koronę z kwiatów wieniec, które sama dziewczyna zrywała.

Włosy przedzielano włócznią na 3 części, około których przewijały się wstęgi. Zwyczaj ten przypominał porwanie Sabineek.

Wszystko jest symboliczne w ubraniu panny młodej: suknia biała przypomina niewinność, welon ognistego koloru, trzewiki, wstęgi Westalek znamionują przyszłą kapłankę ogniska domowego.

Panna młoda, jako też i orszak ślubny, również białą przybrani.

Augury przewiadają szczęśliwą przyszłość małżonków.

Jeżeli panna młoda dostaje posag, kontrakt ślubny pisze się przy augurach.

Po połączeniu rąk zaślubiona para lub kapłan składają ofiarę, poprzedzeni asystentem, niosącym wodę i ogień.

Narzeczeni, zbliżając się do ołtarza, zwracają się na prawo i zakreślają koła.

Jeżeli ogień nie pali się jasno, życie młodej pary nie będzie szczęśliwe, los ich rozłączy.

Podczas uroczystości zaślubin jeden z obecnych niósł koszyk z ziarnem, użytym na ciasto i rzucał w ogień. To połączenie ziarna z ogniem symbolizowało zjednoczenie człowieczeństwa z bóstwem.

Poczem następowała uczta, w czasie której rozdawano ciasto poświęcone.

Następnie porywano pannę młodą z łona rodziny (co przypomina porwanie Sabineek) i prowadzono do domu małżonka.

Wraz z ukazaniem się na niebie gwiazdy Wenus orszak ślubny, z pochodniami w rękach, przebiegał przez tłumy zalegające ulice i śpiewał pieśni przy dźwiękach fletu.

Pieśni te nie harmonizują z poważnym obrzędem, ani z zakazem wymawiania słów nieprzyzwoitych w obecności kobiet.

Tak-to poganizm kładł swoją cechę nawet na zwyczajach przywiązanych silnie do świętych pierwotnych tradycji ludzkości.

(Dokończenie nastąpi).

PIERWSZY WYSTĘP

NOWELLA

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

Szczęściem zjechał do Kalisza teatr a potrzebował gwałtownie „naiwnej“. Wysłany przez dyrektora agent spisał kontrakt z naiwną i ze mną.

Nie było chwili do stracenia. Do Kalisza dziś w nocy natychmiast po przedstawieniu! Tegosamego dnia rano odebraliśmy gażę. „Naiwna“ cichaczem odesłała rzeczy swoje do mego mieszkania, zapakowałam je do jednego kufra. Tego wieczora, graliśmy na pożegnanie z Płockiem, świetnie.

O dziesiątej zamówiony chłopak wziął kufer na saneczki, zbiegłem z naiwną cicho nad Wisłę. Złe było, śniegi tajały, lody kruche pękały, woda wydobywała się na wierzch.

— Po trzy ruble od głowy—zawołałem do przewoźników—jeżeli nas na drugą stronę przeprowadzicie.

— To siadać, — zawołali, — bo kto wie: czy zanim dobiejemy do drugiego brzegu lody nie puszcza?

Każda chwila droga!

Dusza mi siadła na ramieniu, — patrzę na „naiwną“.

— Siadajmy — zawołała, — niema wyboru: tu lub tam śmierć... Uwierzyłem w śmierć i skończyłem do saneczek. „Naiwna“ siadła obok mnie, na drugich umieszczamy rzeczy. Przewoźnicy wzięli wysokie kije, okute żelazem—sznury od sanek w jedne ręce—i wyjechaliśmy na lód miękki i kruchy. Wisła pod Płockiem bardzo szeroka. Przeżegnałem się, „naiwna“ głośno pacierz mówiła.

Zaledwo odbiliśmy od brzegu kilkadziesiąt kroków, woda już szorowała po wierzchu, lód stawał się miększym, trzeszczał pod nogami. Przewoźnicy porzucili sznury i zostawili nas samych, szukając okutymi dragami twardego lodu. Patrzeliśmy na siebie jak potępieńcy. Minuty oczekiwania zmieniały się w wieki.

Wrócili, ujęli powrozy przywiązane do saneczek, kołując po lodowej powierzchni, zalewanej coraz silniej wodą. Pośrodku rzeki mknęła bystro: wysokość jej przechodziła siedzenie w saneczkach. Zimna kąpiel wydała mi się gorącym ukropem. Naiwna odmawiała litanii, przewoźnicy nawoływaniem ostrzegali się przed niebezpieczeństwem.

Chmury zasłoniły gwiazdy, zrobiło się ciemno, ponuro, wiatr wył, woda, szorując o lód, jęczała. Przewoźnicy zbliżyli się. Po krótkiej naradzie przywiązano sznur sanek z kufrem do naszych sanek; jeden z przewoźników pomknął naprzód wyszukując przejścia, drugi, idąc w ślad za nim, ciągnął dwoje sanek i nas w nich.

Mimo, że woda zimna oblewała nas od spodu, pot spływał po twarzach.

Na przeciwnym brzegu zamajaczyły światła, lecz zdawały nam się odległymi o milę drogi. Przynajmniej z dołu odbierał nam nadzieję, głowy oblane potem nie dały się prysznicowi zwyciężyć; walka wśród rozpacz i nadziei koncentrowała się w naszych sercach.

Raptownie od strony Płocka zabłyśły latarnie. Gruby głos dyrektora i syczący „czarnego charakteru“ prudy powietrze.

— Dziesięć rubli, jeżeli ich tu dostawicie—wołał dyrektor.

— A odemnie pięć—dodał „czarny“.

Śluchaliśmy: co odpowiedzą przewoźnicy, zdecydowani ze strachu iść za ich wolą.

— Chodźcie sami ich wziąć — odpowiedział przewoźnik.

— Dostawcie dziewczynę—krzyczał „czarny“—a tego łajdaka utopcie!

— Zamykacie mi budę — wołał dyrektor — bo bez *naiwnej* nie mogę grać. A bodajęście potęgę! Niech was Wisła do morza zanieśli! Głńcie! W tej chwili od strony Płocka powstał huk podobny do wystrzałów armatnich. Naiwna pochwyciła mnie spazmatycznie za szyję.

Huk się powtórzył parę razy, woda zaczęła buchać.

— Kuba, słyszysz? chcieli, żebyśmy za dziesięć rubli wracali — zaśmiał się przewoźnik.

— Mądrala! — dodał drugi.

— Moi drodzy, nie utoniemy? — spytała omdlewająca naiwna.

— Wiem-ci — odparł spokojnie Kuba. — Jak nie pójdziemy pod wodę, to nam nie będzie.

— Kuba do mnie! — krzyknął pierwszy.

Kuba, suwając nogami, pomknął żywo.

Za chwilę uczuliśmy, że się znajdujemy na pewnej wyniosłości. Wjechaliśmy na lód pokryty mokrym śniegiem, wody nie było. Przewoźnicy zdjęli czapki i rękawami kożuchów obeierali pot z czoł. Naiwna się przeżegnała, ja odetchnąłem głęboko.

— Teraz jazda, żywo! — zawołał Kuba i, ciągnąc kufer, obaj puścili się klusem.

Wystrzały pękającego lodu wypełniały powietrze, woda jęczała, goniąc nas z przeraźliwym szumem.

— Z sanek i w nogi! — wrzasnął na nas Kuba, przystając.

Wyskoczyliśmy — zmoczeni; ciężko nam było biec. Przewoźnicy nas wyprzedzali, my za nimi, światełka zbliżały się, woda na lodzie chlupała, rozbryzgując się pod naszymi stopami.

Z biegiem przybywało mocy. Naiwną trzymałem za rękę; była bardzo zmęczona, ciągnąłem ją z całych sił... Jeszcze dwadzieścia, jeszcze dziesięć kroków — stanęliśmy na lądzie. Chłopi z dumą spoglądali na przebytą drogę, naiwna ukłękła, wznosząc ręce do nieba.

Chmury się rozstały, jakgdyby chciały nam pokazać przebyte niebezpieczeństwo; białe księżyc oświecał popękany na kawały lód, gnany wzbłąną masą wody. Wielki odłam lodu, który przebiegliśmy piechotą, w tej chwili uniósł się w górę i rozbił na części. Włosy mi stanęły dębem ze strachu, przewoźnicy się przeżegnali, naiwna oczy zakryła dłońmi.

Woda rosła gwałtownie, lód się rozbijał z jękiem.

— Chodźmy — rzekłem, bo można zwaryować z samego widoku. — Mimo to, nie mogłem oderwać oczu od tego strasznego obrazu. Duma wypełniła mi powoli serca. Naiwna, ujawszy mnie nerwowo za rękę, wpatrywała się rozwartymi szeroko oczyma w majestatyczną potęgę natury, w wozbrane fale wielkiej rzeki, pokryte krami. Cała ta masa, oświecona promieniami księżyca, pędząca szalonym pędem ku niezbadanemu przeznaczeniu, przykuwała nas swą grozą do siebie, tem więcej, że my, malutkie atomy, zdołaliśmy się z jej szp. nów wyratować i całą grozę odczuć. Przewoźnicy, również zapatrzeni w rzekę, stali w milczeniu.

Pierwszej naiwnej zaczęły szczełki z zimna i zdenerwowania latać. Dałem hasło do odwrotu. Na drodze odczuliśmy przejmujące zimno. Światła bijące z okien zajazdu wabiły nas ku sobie. Ludziska pobiegli naprzód wyszukać dogodnej dla nas kwatery.

Nareszcie dobiliśmy! Ciepły pokój wydał nam się rajem, szklanka gorącej herbaty — nektarem!

— Jakże ja cię muszę kochać? — szeptała naiwna tuląc się do mnie — jeżeli odważyłam się na taką przeprawę, byle tylko z tobą!...

— Moje dziecko — odpowiedziałem — gdybyś przeczuła, że lody pękać będą w chwili naszej przeprawy, zostawałabyś w objęciach „czarnego“.

— Niewdzięczniku! nie mówiłam ci, że wolę śmierć, aniżeli jeszcze jedno jego uściśnienie — zawołała oburzona.

Przepędziliśmy całą noc i następny dzień w za jeżdżie, bawiąc się rozpaczą dyrektora i wściekłością „czarnego“. Nazajutrz dotarliśmy do Kalisza, powitani jak zbawcy. Sławy nasze były rozkrzyczane w tem mieście.

— Cóż dalej, co dalej? — pytał zaciekawiony Józio.

— Graliśmy cały miesiąc i, jak zwykle, pierwsze przedstawienia były przepelnione. Komik i naiwna — to wielkie atrakcje...

— Później?

— Później naiwna zaczęła spoglądać czule na bohaterskiego amanta, a zaraz potem szeptała z nim w ciemnych zaułkach kulis.

— I cóż?

— A cóżby? Nie chcąc, aby uciekła z bohater- skim i zostawiła mnie na lodzie, z głupią miną wyjechałem do Łodzi, z Łodzi tu — i jestem...

Józio się rozśmiał wesoło.

— A teraz pomyśl pan: gdybym został urzędnikiem, albo jakim innym głupcem, nazywającym się porządnym człowiekiem, czy miałbym tak rozkoszną przeszłość i przyjemne wspomnienia?... Czy życie moje, — a pamiętaj pan, że mamy tylko jedno i jedyne — nie byłoby podobne do życia wolu, chodzącego w jarzmie od dziewiętej do trzeciej, a potem jedzącego strawę i ziewającego godzinami w knajpie przy kufu piwa?... Pański ojciec jest urzędnikiem?

— Tak — odpowiedział cicho.

— A więc znasz pan to życie monotonne, jałowe...

— Lecz, chcąc być artystą, trzeba mieć talent, wielki talent!...

— Albo to prawda! — przerwał komik — nie mając wielkiego talentu, można być użytecznym, bo nie z geniuszów, ale z użytecznych składa się każda porządna scena, każdy teatr, choćby Komedyi Francuzkiej. Na tysiąc, a może na dziesięć tysięcy, użytecznych jest jeden wielki talent.

Józio się zamyślił, komik poklepał go po ramieniu.

— Jeśli masz mówić — choćby iskierkę talentu, to przy miłości do sztuki, jaką objawiasz, rozdmucham ją choćby w płomyczek.

— Czemże tę miłość objawiam? — spytał ciekawie chłopiec.

— Czem? dziecko jesteś! — Widziałem się tylko co z pocziwym naszym reżyserem; opowiadał mi o twej u niego wizycie. Podobaleś mu się. A ci tylko się jemu podobają, którzy idą na scenę z miłości do sztuki. Bo i on ją kocha. Tak, adepcie, mój kolego, jeśli kochasz sztukę, to cię pochwyciła już w swe kleszcze tak silnie, że się z nich nie wydobędziesz.

Popatrzał w zamyśloną twarz chłopca.

— I czegoż tak oczy wytrzeszczasz, jak gdybyś zobaczył *naiwną*, która pragnie dla ciebie zdradzić „czarny charakter.“ Zróbmy lepiej partyę karamboli.

Józio otrząsał się z natłoku ciężkich myśli przyniatających mu mózg, powstał i wziął kij z roz- targnieniem wielkiego artysty.

Komik wygrał z łatwością partyę i rad z siebie poszedł do domu. Przyszły artysta został sam, rozstrojony, onieśmielony. Nie mógł czytać dzienników, a nawet myśleć porządnie.

— Użytecznym, zawsze, wiecznie użytecznym całe życie użytecznym — powtarzał. — Teatr składa się z użytecznych! Na dziesięć tysięcy użytecz- nych jeden wielki talent!... Ależ to okropne...

Poswięcić karierę, los, przyszłość, wszystko, wszystko, aby zostać użytecznym!...

Myśl ta zaczęła go dręczyć. Pochwycił kape- lusz; rad był od niej uciec: gonila go. Ja, marzący o Otellu i Hamlecie — użytecznym? Czy nie lepiej być tak, jak mój ojciec, użytecznym urzędnikiem magistratu i spać spokojnie, ciesząc się szacunkiem ludzkim i skromną pensyjką?

Od spotkanego kolegi dowiedział się o adresie przyjaciela.

— I po cóż mam do niego iść? Pochwalić się, że zostanę *użytecznym* lub *czarnym charakterem*, któremu komik wykradnie naiwną? Czyż i jego mam namawiać, żeby również został, jak ja, *uży- tecznym*?

Wzruszył gniewnie ramionami.

— Trzeba nawrócić i basta! Zapiszę się na prawo, będę kuł paragrafy, ożenię się z córką radcy sądu wyższego, i dalej, przy protekcji, zacznie się drapać ze szczebla na szczebel, stając się coraz bardziej miłym Bogu, użytecznym lu- dziom. Komik miał rację: teatr i świat stoją na użytecznych...

Wrócił do domu, ucałował ręce matki i chudą twarzyczkę Stefy. Chcąc pocziw swą matkę uspokoić, radził się jej: jaki wybrać zawód, jaki wydział na uniwersytecie: filozofię czy pra- wo?... Do medycyny miał wstręt nieprzewycię- żony, a uśmiechała mu się w perspektywie poli- technika i architektura.

Uszczęśliwiona matka, że nareszcie jednak jej wybił sobie z głowy aktorstwo, słuchała go z zachwytem i wdzięcznością.

Wieczorem przysięgał unikać teatru, zerwać z aktorami, nie chodzić za kulisy.

— Dziękuję wam za waszą użyteczność — po- wtarzał z szyderstwem. — Geniusz, wielki talent — lub nie! — słyszysz mnie! Wolę zostać dygnita- rzem państwa, niż użytecznym w teatrze... Duma i buta dwudziestu lat wspierała mu piersi... Nowa idea wielkiej ambicji, podsycona egoizmem, za- częła w nim nurto- wać, lecz jej nie umiał z chaosu przeczuć i myśli wydobyć i sformułować...

Drugiego dnia, gdy przychodziła oznaczona go- dzina pierwszej lekcji — prawie mimowiednie, pod wpływem silniejszych od rozsądku czarów, wziął z półki „Mazepę“ — kapelusza na głowę i poszedł.

— I po co?... — powtarzał. — Zkąd we mnie ta- lent? i ten uparty zapal? Albo ja wiem? — odpo- wiedział sam sobie. — Jest we mnie jakiś ukryty zły, czy dobry duch — zmora, siła, która stawia moje kroki — prowadzi mnie na Sławkowską i przez bramę popycha na schody... Nie mogę się jej oprzeć — sił nie mam!...

Stanął przed bramą.

— Bracie lekcye, a zostać aktorem to wielka róż- nica i daleka droga.

Wbiegł na schody — zadzwonił — i z dobrą miną stanął przed artystą.

— Jesteś słowny, mój młody kolego — odezwał się wesoło reżyser. — Na otwarcie, a raczej na po- czątek naszych lekcji wytnij coś ze Słowackiego, coś ciepłego a lirycznego.

Józio bez namysłu zadeklamował:

Na to, jak róża, która nie jest do dna
Białą, lecz w liści kryształowej czarze
Kryje rumieniec, a kiedy swobodna,
Słońcu odemknie łono i pokaże
Swoją rubinową wstyd i tę konieczną
Białego kwiatu rumianość serdeczną...

— Ciepło uczucia — jest siła, wdzięk, głos. Żle kochany pan stoisz, nieodpowiednio gestykulujesz, nieumiejętnie akcentujesz; lecz to są drobnostki, bo to wszystko nabyć i tego wszystkiego nauczyć się można. Ale ciepła uczucia, tego magnetyzmu, z pomocą którego bierzesz publiczność, pociąga- z i prowadzisz po wszystkich tajnikach twórczości autora, tego nie zdobędziesz: to musisz przynieść ze sobą na scenę. To jest twoje, twój duch, two- ja moc panowania nad tłumami, czyli twój talent, dar Boga, z którym przychodzisz na świat.

— Czy ja go mam? — szepnął Józio.

— Czuję, iż go masz, ukryty w głębiach ser- cea, w zwojach mózgu... Lecz ja go wydobędę na jaw i pokażę światu — zawołał gwałtownie, za- ciskając dłoń i wznosząc rękę w górę.

— Ja go wydobędę — we mnie podjęł zazdrości nie ma, ja pragnę dźwigać sztukę!...

Pocziwy reżyser rozpałał się własnymi sło- wami.

— Dosyć! — przerwał po chwili — zaczynajmy! Na scenie powinno się zawsze stać tak — poka- zał — aby na zawołanie można wydobyć głos!... Piersi naprzód, brzoś schować, patrzeć śmiało.

— Wzrok, jakim się patrzy ze sceny na ludzi, dużo znaczy. Wzrokiem magnetyzuje się tłumy — i choć go wyraźnie nie widzą, odczuwają jego siłę...

Z uśmiechem pełnym zalotności a okiem pło- miennem, wyskakuje Mazepa. Uśmiechem, spoj- rzeniem, zgrabnym ruchem — powinien od razu oczarować widzów i zapanować nad nimi. Póź- niej dopiero przychodzi głos — objawienie poezji, muzyka, czary — wszystko!...

A zatem, Mazepo — „sowidzrzale, urwisie, moty- lu, paziu, kochanku“ — wchodź przez okno i mów...

Józio spojrział czarując — i zaczął wesoło:

„Falsz! mościa dobrodziejko — proszę nie dać wiary.“

Reżyser mu odpowiedział za kasztelanową: „Jakże tu pan wszedłeś?”

Józio z fantazją dokończył:

„Z księżycem przez szpary, lecz wczas przychodzi bronić własnego honoru.”

— „Lecz jak tu pan przyszedłeś?”

— „Jak m. tylek z dworu... Przez okno mościa pani.”

„Z włosów mam różnych drabinę!”

— Nieźle, jak na początek. Jest fantazja i wesołość, lecz nie czuć przebijającego się w każdym słowie pazia szyderstwa. Jesteś wesołym, lecz za mało urwisem, bałamutem, uwodzicielem, którego siodło utkane z włosów kochanek... Lecz na to wszystko jeszcze masz czas... Należy naprzód z życia zaczerpnąć wrażeń, a dopiero je potem przetwarzać na scenie!...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z ANGLII.

Mamy tu zimę niebywałą a przynajmniej nie każdy pamięta takie mrozy, jakie miewaliśmy tu w Styczniu. Noc z 9-go na 10-ty Stycznia była najmroźniejszą, jaką pamięć Anglików przypomina sobie od lat trzydziestu pięciu, a dzień 11-go Stycznia najmroźniejszy od lat dwudziestu siedmiu. Zimno doszło dwudziestu stopni według Celsjusza, i na ulicach Londynu znaleziono kilka trupów skostniałych, przytem panowały straszne zawieje; śnieżycą zasypywała drogi, na morzu rozbiły się dwa parowce irlandzkie, z których jeden: Linton, przepadł tak, że nikt nie wie gdzie i jaką śmiercią zginęli znajdujący się na nim ludzie. W Londynie przerwał się ruch pracy i 100.000 robotników mrze z głodu a ogromna ilość biedaków sypiała pod gołym niebem, pod ścianami domów na 15 stopni zimna (Celsjusza). Nieszczęśliwi tłoczyli się do drzwi świątyń, których niestety, nie otworzono im.

Byli pomiędzy nimi i nasi rodacy. Dorywcze wiadomości o ruchu pracy w Londynie zawracają głowy ludziom niemającym pojęcia o stosunkach tutejszych, a jest tu ich znaczna liczba i z klas intelligentnych, i choć robimy dla nich co tylko można, bieda jest wielka, ogromna. Podsekretarz stanu Grey oświadczył w parlamencie, iż rząd zalecił konsulom zagranicznym, aby ostrzegali wybierających się tu ludzi, wykazując, że rynki pracy są już przepełnione. Przed 1881 r. ludność Londynu powiększała się co dziesięć lat w stosunku 16.21%, następnie od 1881 do 1891 r. już tylko o 10%, a to z powodu, iż Londyn nie miał już gdzie się budować; przecież udoskonalona, ułatwiona komunikacja kolejowa pozwala ludziom, pracującym w Londynie mieszkać na przedmieściach jeszcze nie wcielonych do miasta. Jeżeli przecież ludność, jak przypuszczać można, powiększała się będzie w stosunku dotychczasowym, to dojdzie niezadługo do czterestu milionów głów.

Ile ich przecież pomieścić się tu może?—pytają ludzie. Gdyby cały Londyn był zamieszkały tak gęsto, jak obecnie ludowa dzielnica Whitechapel, mogło-by być ich tutaj osiemdziesiąt siedm milionów, gdyby przecież mieściło się ich tyle tylko, jak w dzielnicy Hampstead, która jest najmniej zaludnioną, to pomieściłoby się ich jeszcze trzyście milionów, i czy nie zawraca się człowiekowi głowa na myśl o takim mrowisku ludzi? a dodać trzeba, że liczba małżeństw i urodzin w Londynie mniej się zmienia, niż w reszcie kraju.

Zarząd Londynu kosztuje też 11.000.000 funtów sterlingów. Lekarzy praktykujących w jego obrębie jest 5.590, a we wszystkich hrabstwach angielskich 15.000, w Szkocji i Irlandii około 6.000 i stosunek taki przedstawia się we wszystkich gałęziach pracy: to też rząd dał konsulom zagranicznym państw wszystkich instrukcje, aby uwiadamlali ludność miejscową, iż immigracya do

Anglii stała się już niemożliwą, ponieważ wszelkie gałęzie pracy są przepełnione. Co do miast dzieje się tak niemal na całym świecie; w Europie jest ich cztery, mieszczących więcej niż milion mieszkańców, a to: Londyn, Paryż, Wiedeń i Berlin, w Azji pięć: Kanton, Tokio, Pekin i Wucang; w Ameryce New-York, połączony z Brooklynem, i Chicago. Za takim wzrostem miast idzie odpowiednio wzrost instytucji, widowisk gromadzących ludzi, i w Londynie, naprzekład, sala koncertowa Albert Hall może pomieścić 20.000 słuchaczy, teatr Covent Garden ma taką scenę, że w święta Bożego Narodzenia przedstawiono na niej widowisko „Arka Noego” a były tu zgromadzone wśród odpowiednio urządzonej przestrzeni możliwie wszystkie oswojone zwierzęta i ptaki.

Ze wśród takiego nagromadzenia ludności, rekrutującej się ze wszystkich stron świata, utrzymanie porządku jest sprawą nielada, policja Londynu tworzy niemałą armię. Sprawozdanie zarządu miejskiego za rok 1892 wykazuje, że liczyła ona naczelników 31, inspektorów cyrkulowych 721, sierżantów 1.707, konstablów 12.541, to też utrzymanie tej służby bezpieczeństwa wyniosło w roku sprawozdawczym sumę, która się może wydać wam bajeczną, bo przedstawia 1.264.000 funtów sterlingów. A mieli przecież ci ludzie co do roboty, bo w ciągu wymienionego roku aresztowano w Londynie 84.922 osób, z pośród których sądy skazały 58.949 za różne przestępstwa zakłócenia spokoju publicznego, naruszenie praw moralności względem osób drugich. Policja londyńska dzieli się też na oddziały poszczególne i jest naprzykład oddział straży specjalnej co do nadzoru powozów publicznych, karet do najęcia, fiaków, to jest dorożek, których mamy tu 15.000.

Aby ruch taki był możliwie bezpieczny, aby nie sprowadzał starć i wypadków, tramwaje nietylko idą po szynach zawieszonych nad głowami ludzkiemi, jak wam to kiedyś pisałem, ale urządzają się koleje podziemne — koleje biegnące tunelami na ten cel urządzonemi. Już to podróż taka przyjemną być nie może, bo dym z lokomotywy daje się czuć przyko i pomimo odpowiednich wylotów gęsto urządzonych, powietrze jest tu ciężkie i parne, a nietylko Londyn jeden potrzebuje takich szczególnych środków komunikacji i właśnie w tym czasie buduje się w Glasgowie kolej podziemna nowego systemu, wprawiona w ruch za pomocą lin, a która mimo to ma mieć szybkość przebieżania naszych dwóch wiorst w przeciągu godziny. Nie będę wam opisywał jakim sposobem rzecz się odbywa i dodam tylko, że linii kolei takiej będzie dwie, a koszt ich budowania ma przedstawiać 700.000 rs. na wiorstę, których będzie tu dziesięć.

Pociąg będzie biegł za pociągiem, opłata za kurs w klasie pierwszej będzie dwa pensy, w drugiej pensa i już to środków komunikacji nie braknie tu na ziemi, pod ziemią, w powietrzu i na wodzie. Kanał Manchesterski został urzędowo otwarty z początkiem roku dla żeglugi międzynarodowej, a jednak przy tak ogromnym ruchu pracy brakuje jej tu ludziom i między naszymi rodakami, zwłaszcza z klas wyższych, bieda jest wielka. Mam tu w sąsiedztwie nieszczęśliwą parę, młode małżeństwo; mieszkają w komóreczce bez pieca i komina, a i za takie nawet pomieszczenie płacić nie mogą; jednak są to ludzie wykształceni i w kraju przy najmniej przychylnych okolicznościach mieliby kawałek chleba choćby razowego. Tu, wobec wielkiego wzrostu ludności, zdobyć go, zwłaszcza obcym, nielato, ludzie wiążą się też tutaj w stowarzyszenia, poczynając od klas intelligentnych do najniższych. Jest tu naprzykład stowarzyszenie posłańców publicznych, jest stowarzyszenie czyszczących na ulicy obuwie przechodniów, a to chłopięta są już nieduże, po większej części sieroty, i należy powiedzieć „Bóg zapłać” poczciwemu człowiekowi, który pierwszy podał myśl tego związku niebożat. Są to po większej części sieroty; obecnie stowarzyszenie liczy ich pięćset; mieszkanie mają wspólne, wspólnie jadają, otrzymują też, przystępując do związku, ubiór, dla wszystkich jednakowy, stanowiący jakoby mundur: bluzę z niebieskiej, lub

czerwonej flaneli, a to według oddziału starszych i młodszych. Czapeczka odpowiada kolorem mundurkowi, torebka zawieszona przez plecy zawiera szczotki i pudełko z szuwaksem; wracając z roboty, obowiązani są pewną oznaczoną część zarobku oddać władzy stowarzyszenia, które pamięta, nietylko o ciele, ale i o duszy tych pacholąt biednych. Wiezorami zgromadzają się w szkołce, mieszczącej się przy każdym oddziale, gdzie uczą się czytać, pisać, rachować, oraz religii i moralności.

Ten pułk chłopiat, wydartych nędzy i zepsuciu, zarabia wcale pokazną sumę trzystaście tysięcy funtów sterlingów. Związek służących, utworzony pod wpływem duchowieństwa, szczególnie archidyakona Farar, oddanego całkowicie sprawom umoralnienia klas pracujących, bardzo do brze wpływa na uszlachetnienie, podniesienie ducha tej ich warstwy, która w zetknięciu ciąglem z ludźmi zamożnymi łatwiej się psuje przez rozbudzoną chęć używania, a często bardzo zatruwa się złem uczuciem zazdrości. Na zgromadzeniach, gdzie każdy ma prawo głosu, odzywają się w różnych materiach, w różnych położeniach swego otoczenia, i na jednym z ostatnich podniesiono skargę na wprowadzone w modę przez księżnę Wali przyjęcia niedzielne. Aż dotąd dzień ten był w Anglii surowo, nawet za surowo, święcony; obecnie duchowieństwo nieco zwołniało ten nakaz świętowania, które skazywało na martwość niemal mumii; wolno jest, naprzykład, używać przechadzki, wolno jest czytać dobrą, moralną książkę, a dodać trzeba, że mieszkańcy Londynu warstw wszelkich są gorąco zamknięci w czytaniu, i w każdym cyrkule miasta znajdują się też czytelnie publiczne. Biblioteka publiczna na Saint Martin Lane, mieszcząca się wprawdzie wśród jednej z najludniejszych dzielnic Londynu, miała w ciągu roku ubiegłego 767.029 czytelników, a od czasu swego założenia, to jest od 1891 r. 1.683.999.

Otwarta od dziewiętej rano do dziesiątej wieczorem, jest zawsze pełna; ludność angielska, nawet sfer niższych, zajmuje się wielce sprawami ogólnymi, i to bodźcem tu jest niemałym; ze względu też na to zamknięcie municypalność Londynu postanowiła wywieszać na murze frontowym kościoła Ś-go Marcina trzy najpopularniejsze dzienniki, przed którymi nie ma nigdy wolnego miejsca, a dowód to, że duch tu nie śpi. Książki są bardzo drogie, ale tylko w pierwszych, wytwornych wydaniach; następne przedruki są za to bajecznie tanie i przystępne dla ludzi niebogaty. Na wsiach niema chyba ani jednego takiego ziemianina, któryby nie tworzył mniejszej, większej biblioteki i niemało jest tu bibliofilów; licytacya pierwszych wydań dzieł Dickensa dowiodła tego w końcu zeszłego miesiąca. Rozkupiono wszystkie po cenach tak wysokich, że trzeba prawdziwie czuć uszanowanie do takich upodobań i to w narodzie, który drugostronnie zdaje się być bardzo pozytywnym. Zmarły właśnie w zeszłym miesiącu lord Warwick, potomek bardzo starożytnego rodu, właściciel zamku z historycznymi wspomnieniami, mógłby dać temu świadectwo. W prastarym zamku, wznoszącym się nad rzeką Avon, w malowniczym położeniu, na wyniosłym wzgórzu, wszczął się raz ogień, a choć ratunek był wielki, choć ludzie rzucali się w płomienie, niejedno uszkodzonym zostało a szczególnie sala z historycznymi wspomnieniami, zwana czerwona. Lorda nie było podówczas w domu; gdy wrócił i spojrzął na rudere, rozplakał się, bo był to człowiek bynajmniej nie bogaty, a restauracya wspaniałego gmachu wymagała kroci. Przecież, gdy dzienniki wieść rozgłosiły, posypały się składki tak hojne, że znaczna ich część została zwróconą ofiarodawcom.

Był między nimi zmarły właśnie w tych czasach rzeźbiarz, Woodlington. Zaraz po pożarze przybył na miejsce, aby wziąć udział w restauracyi pamiątkowych przedmiotów z zakresu jego sztuki. Lord Warwick pochodził z rodu historycznych magnatów i duma jego uczuła się dotknięta tem, co uważał za jałmażę; ale Woodlington tak przemówił do niego w imię zarówno czczonych ideałów, że rzucili się sobie w objęcia i od-

tań złączała ich przyjaźń, trwająca do śmierci artysty. Wśród dzieł jego dłuta zaznaczają się szczególnie wypuklorzeźby zdobiące pomnik Nelsona na Trafalgar Square, szlachetnie piękne jako dzieło sztuki i zarazem świadczące o gorącości jego uczuć jako syna Anglii.

Corocznie urządzana w Londynie wystawa retrospektywna, to jest starych mistrzów a która odbywa się zwykle w New Gallery, gdzie poświęconą jest na ten cel najbogatsza sala w stylu Odrodzenia, obejmować będzie w tym roku dzieła starych mistrzów włoskich; w roku przeszłym przedstawiała ona utwory mistrzów holenderskich i flamandzkich. Księżna Walii głosowała za tym wyborem a pani ta jest niepospolitą znawczynią i miłośniczką sztuki. Na imieniny jej, przypadające w Grudniu, córki, znające artystyczne zamiłowania matki i cześć dla jej kapłanów, księżniczka Wiktorya starsza i młodsza Maud, ofiarowały jej fortepian, na którym Paderewski grywał, przebywając w Londynie. Cześć oddawana zasługom ducha i umysłu jest oznaką uczuć i pojęć szlacheckich, i cała publiczność angielska przyjęła bardzo życzliwie odezwę powieściopisarza, Waltera Besanta, który w tygodniku, będącym organem królowej Wiktoryi, pod tytułem też „Królowa“ (Queen), dopomina się, aby utworzona była legia honorowa dla ludzi, których zasługi ducha i umysłu wyższego powinny być przez ogół uczczone. Głosowanie publiczne stawiało, by kandydatów swoich, a większość głosów rzecz rozstrzygała. Gladstone silnie projekt ten popiera słowem i piórem, a gdy się doda do tego, że liczy on już lat 84, trzeba podziwiać szlachetną energią ducha w tym starcu, którego nie napróżno kraj nazwał wielkim starcem. Obecnie jest on zajęty przekładem dzieł Horacego, przekład będzie dokonany prozą, ale poezja nie zamyka się wyłącznie w rymie, jak sędziwy ten mąż odpowiedział komuś ze znajomych, który mu czynił pod tym względem uwagi. Czy jej naprzykład niema w prozie Mickiewicza, tak, jak jest w „Odzie do młodości“:

Zakończyć mi trzeba smutną nowiną: umarł tu jeden z najznakomitszych ludzi w Anglii, dzielny, śmiały, nauce wielce zasłużony człowiek, Samuel Backer, badacz okolic wyższego Nilu i Afryki środkowej. Umarł przecież w domu, w wiejskiej rezydencji swojej Newton Abbot, na aneuryzm serca, żalowany przez wszystkich, nie tylko jako uczony, ale jako człowiek szlachetnego charakteru i czystego, uczuciowego życia, któremu przewodniczyło zawsze uczucie obywatelskie. Wróć jeszcze kiedy do wspomnienia o nim, bo niepospolity to był człowiek i uczony. Zostawił po sobie wiele prac z opisami podróży swoich po Syrii, Indyi, Japonii, za które otrzymał wielki medal złoty od paryżkiego Towarzystwa Geograficznego, które mianowało go niegdyś honorowym członkiem swoim. Zasłużonemu człowiekowi cześć oddawać, — to cześć co Ludzkość ma w sobie wyższego.

Henryk.

JULIUSZ SŁOWACKI W EGIPCIE.

(27 Września 1836 — 2 Stycznia 1837)

przez

Ferdynanda Hösicka.

(Dokończenie).

Wieczorami przychodził Brzozowski do namiotu Słowackiego i, akompaniując sobie na czekaniku, śpiewał mu różne piosenki i kolendy, których on, siedząc po turecku na dywaniku i paląc wschodnią lulkę, otulony swoim płaszczem arabskim, słuchał z rozczuleniem. Co wieczór też prawie musiał im Soliman, sławny z tego i chępliwy, że był niegdyś tłumaczem Champolliona, Roselinie-

go, Fresnela i wielu innych, opowiadać o swoich dawnych panach różne drobne szczegóły z ich życia podczas podróży (i ze mnie, myślał sobie Słowacki, zbiera on zapas małych spostrzeżeń, któremi będzie bawił przyszłych wędrowników) albo też, usiadłszy na ziemi u wejścia do namiotu, oświecony wierzającym między płótna księżycem, śpiewać monotonne, płaczliwe strofy z poematów arabskich, których dźwięk niezrozumiany i smutna nuta kołysały ich do snu... „A wtenczas, powiada Słowacki, może mnie Anioł znów okrywał płaszczem Solimy i naznaczał krzyżem czerwonym na piersiach. Ze dworu tymczasem, od stropustyni, dolatywały, hyjen przeraźliwe wycia“ Zresztą „ciska ogromna“ zalegała namiot. „Chyba myśl jaka w księżycu przebiegła; zgola żadnego innego jęku ni szelestu“¹⁾

„Lecz dosyć już o tym śnie tajemniczym z życia mojego, o tym złotym stepie, i o tym namiocie, gdzie miałem chwile spokojne, gdzie budząc się, przez rozrzucone płótno oczy moje napotykały konstellacye Oryona. Dosyć o tym eichym tygodniu życia: przemiął“.

Zanim przemiął jednak, zakłóciła tę niezmaczoną jego ciszę... szalona burza. Było to w samą wigilią Bożego Narodzenia. Brzozowski grał na czekaniku i śpiewał kolendy; Słowacki, słuchając, był myślami... w domu, w Krzemieńcu, przywołując sobie na pamięć owe dni, które spędzał dawniej na ucztach w gronie rodzinnem²⁾; kiedy nagle, przygnana przez wichry z Morza Czerwonego na Śródziemne, nadciągnęła straszna nawała chmur; nastała okropna ciemność, rozświecana tylko co chwila oślepiającymi błyskawicami; zerwał się wiatr, który, wyjąc głucho, począł prosić piaskiem do wnętrza namiotu; po chwili ryknęły pioruny: aż wreszcie przyszła ulewa najokropniejsza, na jaką się Słowackiemu zdarzyło patrzeć w życiu. „W smutne i zamyślane o kraju serce zaczęło wchodzić powoli przerażenie...“

„Anelli myślał, że już przyszedł wichry, który go z ziemi zwieje i zanieśie w krainę cichą“.

I tak przez całą noc prawie. Grom spadał, hucząc po gromie, — jak opowiada nieszczęśliwy „Ojciec zadżumionych“ — a wszystkie tak były blizkie, iż każda chwila wydawała się już ostatnią. Szeleszczący od wichrów i deszczu namiot Słowackiego chwiał się nad nim, a zacerwieniony od piorunów wydawał się, jak powiada poeta, ognistym i strzęgącym łóża bezsennego cherubinem. Świeca, po kilkakroć zapalana, zawsze gasła; a po niej jakim czasie wilgotny knot wcale zapalić się nie chciał i trzeba było poprzestać na świetle... błyskawie. W końcu, deszcz przedarł się przez płótno namiotu; na ziemi, gdzie leżały postania, potworzyły się kałuże, które, podmywając pościel, zniewoliły Juliusza, że zwinął wszystko w jeden pakiet i, jak powiada dowcipnie, sam musiał się zamienić w parasol swoich rzeczy. Ale nie na dowcipkowanie zbierało mu się w tej chwili, bo prawdziwie biblijną wielkością nacechowana była ta burza w pustyni, burza, której obraz znalazł się później odbity w „Ojcu zadżumionych“, gdzie go Słowacki, jak powiada, we właściwszem jeszcze pokazał świetle czytelnikowi, albowiem kazał patrzeć nań... przez łzy ludzkie:

Po córce w pięć dni, o Boże, mój Boże!
Z wieczora huczeć już zaczęło morze,
I słońca się krąg pochował ponury,
I niebo czarne zaciągnęły chmury. etc.

Ale skończyła się nareszcie ta bezsenna noc zgrozy. Nad rankiem, kiedy Słowacki wyszedł z namiotu, aby zobaczyć, co się z towarzyszem jego stało i kiedy sobie wieszowali, że wyszli cało z tego piekielnego koncertu piorunów, deszczu i drobny „zasmucał powietrze“. Szare niebo zdawało się wisieć nad samą ziemią. Wiatr ustał. Tylko morze rozbijało się z grobowym hukiem

¹⁾ Ojciec zadżumionych. Z obłąkanego budziły mnie śniecia. Po nocy hyjen przeraźliwe wycia. Tam, nad trumnami... I słuchałem błądy, Jak nad trupami płaczą trupy.

²⁾ Przedm. do Ojca zadżumionych.

o wybrzeże... Przekonani, że po tem, co było, nie gorszego nastąpić już nie może, zziębnięci i przemokli do nitki, Słowacki i Brzozowski poczęli przemyślać o śniadaniu i... suszeniu rzeczy; kiedy nagle przeraźliwy krzyk Arabów o nowem uwiadomił ich niebezpieczeństwie. Co się stało? Oto rzeczka owa, gdzie wczoraj drobna sączyła się nitka wody po piaszczystym korycie, nabrzmiła nocną ulewą, poczęła wzbierać gwałtownie, przerywać, brzegi i białemi, kragłemi falami, podobnemi do pletw srebrnych, rozlewać się po dolinie. Na widok takiego *periculum in mora* rzucili się obaj wraz z Arabami ratować czempredziej nieobeschle jeszcze z nocy namioty, które się im też szczęśliwie na najbliższy wzgórek przenieść udało: a ledwo je uprzatnęli, zaraz przyszła woda i napelniła owe kręgi, które, jako ślady ich zerwanych domów, widniały na piasku. Ponury, głodny, szczękający zębami z zimna, drżący, jak w febrze, patrząc ze wzgórką na tryumf tej nędznej rzeczki, szczególnego doznawał Słowacki, jak powiada, uczucia, które później w przedmowie do „Ojca zadżumionych“ określił w następujący sposób: „Bez dachu, bez ognia, bez pokarmu, doznawszy morskiego prawie na ziemi rozbicia, nie mogłem jednak udać się do blizkiego miasteczka, gdzie byli ludzie, ani prosić, aby mię pod dach jaki przyjęto i przy gościnnem posadzono ognisku. A mogły nadejść okropniejsze burze, mogło nareszcie przyjść morze i zatopić wzgórze, na którym stałem; a wszystko to trzeba było własnymi siłami wytrzymać, ocalić się lub zginąć... pod okiem ludzi, którzy się mnie i rzeczy moich dotknąć nie mogli i nie śmieli“.

Fodobne refleksye snuły mu się po głowie przez całe pierwsze Święto Bożego Narodzenia, które im przeszło smutno, najprzód na suszeniu garderoby, a następnie na rozbijaniu namiotów. Nauczony doświadczeniem, wybrali teraz na obóz najwyższy wzgórek, jaki był w okolicy. Pierwszą noc jednak, pomimo wysiłków, nie zdążyli się uporać z namiotami, tak, że spać musieli pod gołym niebem, na wilgotnym piasku, nakrywszy go rogożami i dywanami.

Ale wyjaśniło się nakoniec niebo i nastał szereg dni pogodnych, jak wymarzonych:

Słońce wschodziło w upały czerwone,
Jak jaka krwawa pożaru pochodnia.

Toń morska wygładziła się znowu; ziemia poczęła się miejscami zielenić; pod laskiem palmowym (do którego było także Słowackiemu wolno chodzić w towarzystwie strażnika) ukazały się kwiaty, w rodzaju hyacyntów; i tak zastał poetę w El-Arish Nowy Rok poprzedzony bardzo silnem trzęsieniem ziemi. O dobrym humorze, w jakim Słowacki był tego dnia 1 Stycznia świadczą wiersz *Z powinszowaniem Nowego Roku*, posłany Brzozowskiemu na dzień dobry, a zaczynający się od:

Wielmożny Panie!
Powinszowanie
Nowego Roku,
Co pęta w kroku
Na tej pustyni;
Niech cię uczyni
Bardzo wesółym.

Nakoniec d. 2 Stycznia upłynął termin kwartanny i dalsza droga stała otworem. Rano przyszedł doktor Steble, zbadał podróżników, a przekonawszy się, że są zdrowi, oświadczył, iż mogą jechać. Przedtem wszakże, na pożegnanie, prosił: czy nie chcieliby wypić z nim razem w jego domu filiżanki kawy? Ale wielbłądy, już okubaczone i osiodlane, czekały na nich, klęcząc, więc, ponieważ trudno się było oprzeć prośbom klęczących wielbłądów, podziękowali doktorowi za gościnność, przeprosili, że z niej korzystać nie chcą i, wymówiwszy się pośpiechem, pożegnali El-Arish i pana Steble, nie wypiwszy u niego kawy ani podziękowawszy jego żonie, za pieczywo, które, jak mówiono, sama dla nich piekła codziennie... Nie wiedzieli, jak sroga za niedelikatność tę miała ich spotkać kara. Ale dowiedzieli się o tem wkrótce i nie mogli sobie pośpiechu, z ja-

kim opuszczali El-Arish, darować. Bo cóż się okazało? Oto, że panią doktorową Steble była sławna piękność na Wschodzie, panna Malagamba, o której Lamartine, w pierwszym tomie swojego *Voyage en Orient* z takim uniesieniem rozpowiada, a którą odwiedzić, poznać i przekonać się czy rzeczywiście jest tak piękna, jak ją opisuje autor *Jocelyna*? miał Słowacki specjalnie polecane od Hersylki. Kiedy wyjeżdżał z Neapolu, wciąż mu przypominała, ażeby złożył swą czołobitność panie Malagamba; przyrzekł, że to uczyni, tymczasem w chwili, kiedy się dowiedział, że panna Malagamba została panią doktorową Steble, było już, niestety, zapóźno...¹⁾ Tłumacząc się z tego później przed Hersylką, nie mógł odżalować tej jakiejś obojętności dziwnej, która go nie natchnęła ciekawością poznania młodej pani Steble, a uczuciu temu dał w liście swym, do Januszewskich z Livorno pisanym, następujący wyraz: „Pani doktorowa podałaby mi, zwyczajem wschodnim, kawę i nawet pocałowałaby mnie w rękę, bo taki jest zwyczaj na Wschodzie.”²⁾ I wszystko opuścić przez jakiś dziwny pośpiech! „Ale przynajmniej—pocieszał się po niewczasie—jadłem chleb jej najpiękniejszymi rączkami pieczony. A dyabeł, że mógł wiedzieć, że jest teraz panią doktorową kwarantanny i że na pustyni mieszka między Gazą a Kairem!”

Warszawa, d. 25 listopada 1893 r.

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż opracowany świeżo projekt uregulowania stosunków fabrycznych przejdzie niezadługo do Rady Państwa. Opracowana tu będzie między innymi kwestya ubezpieczeń zbiorowych, i to bardzo szczegółowo.

— Z Petersburga wyjechali delegaci na konferencyę sanitarną, zbierającą się w celu zapobieżenia, aby cholera nie została zaniesioną do Europy z Persyi i okolic Morza Czerwonego.

— Piszą z Sewastopola, iż morze Azowskie zamarzło zupełnie, co jest rzeczą niepamiętną. Saniki suną się bezpiecznie po lodzie, który ma być grubości metra; w ciągu nocy słyszeć się daje bezustannie huk, jak gdyby wystrzałów armatnich, co jest skutkiem coraz-to głębszego zamarzania wody.

— Analiza bakteriologiczna wody wiślanej, dokonana w pracowni Dra Bujwida, wykazała, iż mimo rozmaitych bakterii, zawierających się

w tej wodzie, tak filtrowanej jak i nie filtrowanej, zaczerpniętej ze smoka wodociągowego, nie znaleziono wcale bakterii chorobotwórczych.

— Pewna liczba członków stowarzyszenia spożywczego Merkury postanowiła wnieść projekt zreformowania ustawy, co ma być powierzone komisyji specjalnej, wybranej na najbliższym posiedzeniu członków.

— Przedłużenie po dzień 25 bieżącego miesiąca terminu składania deklaracji na wystawę nasion, oraz wytworów gospodarstwa domowego, dobre przyniosło skutki w pomnożeniu się liczby deklaracji. Otwarcie nastąpi w d. 4-ym Marca. W sekcji rolnej obok narad, dotyczących gałęzi gospodarstwa wiejskiego, przedstawionych na wystawie, wykazane będą wyniki prób, przedsiębioranych w różnych okolicach kraju.

— Zapisywanie kandydatów do wysłania na kolonie letnie rozpocznie się z dniem 6-ym Marca a odbywać się będzie, jak dawniej, w lecznicy I-ej (Niecała róg Wierzbowej, piętro pierwsze), codziennie wieczorem od godziny w pół do ósmej, wyłączając tylko niedziele i poniedziałki. Zapis trwać będzie do 22-go Marca, przyjmowanie świadectw do 28 Marca z trwaniem do 14 Kwietnia, superrewidencya od 17 Kwietnia do 10 Maja. Ponieważ zadaniem tu jest wysyłanie dzieci rodziców ubogich, więc nieczytających dzienników, zarząd prosi właścicieli i rządów domów, oraz osoby stykające się z ludnością ubogą, aby oznajmiały interesowanym o czasie i miejscu zapisów. Zgłaszać się tu powinni rodzice lub opiekunowie, bez przyprowadzania ze sobą dzieci. Z dobrodziejstwa wysłania ich na świeże, odżywiające powietrze korzystać tylko mogą dzieci od lat ośmiu do dwunastu.

— Wystawa szkiców architektonicznych, urządzona w Towarzystwie Sztuk Pięknych, została zamkniętą. Przybyło na wystawę kilka marmurowych i w bronzie dzieł sztuki Piusa Welońskiego.

— Restauracya kaplicy Matki Boskiej w kościele poAugustyńskim przy ulicy Piwnej, została ukończoną. Kaplica ta mieści figury uważane za dzieła Wita Stwosza.

— Fasada kościoła Wizytek na Krakowskim-Przedmieściu potrzebuje pilnie restauracyi; tynki przez czas przegryzione odpadają tak, że ukazują się oczom goła cegła. Dodać trzeba, że świątynia ta jest szacownym zabytkiem starej naszej sztuki rokoko.

— Kościół parafialny w Kozłowie, w powiecie sochaczewskim, potrzebował wzniesienia nowego ołtarza wielkiego, na co przecież nie było żadnego funduszu, i pleban miejscowy, przemawiając do ludu z ambony o pomoc, poddał mu myśl ułatwienia sobie pobożnego obowiązku. Czas to był kopania kartofli: gdyby więc każdy z pośród parafian człowiek dobrej woli oddał się dzień jeden w tygodniu tej pracy na najem i otrzymany przez to zarobek ofiarował na budowę świątyni, rzecz zostałaby załatwiona pomyślnie; jak się też stało. Lud pobożny złożył wkrótce na ręce kapłana sumę, dającą możność rozpoczęcia potrzebnej restauracyi domu bożego.

— Na wiosnę ma być podjętą budowa trzech parafialnych kościołów, a to: we wsi Czerwonce w powiecie garwolińskim świątynia zbudowaną będzie w stylu gotyckim o trzech nawach i dwóch wieżach, kosztem 100.000 rs. W Starej wsi, należącej do ordynacyi hr. Zamojskich, dom boży stanie wzniesiony również w stylu gotyckim, o jednej wieży, nie tynkowany; w Kamiechyzku, w pobliżu Kałuszyna, budujący się kościół będzie również w stylu gotyckim o jednej nawie, ale bez wieży, tylko z sygnaturką, gdyż brak funduszy zmusił do tego. Wszystkie te świątynie wzniesione będą według planów architekta Dziekońskiego, który przewodniczyć będzie ich budowie.

— Szlachetny czyn pomocy bratniej spełniony został w tych czasach, jak donosi „Gazeta Radomska.” Dobra Wir, położone w powiecie radomskim, wystawione zostały na licytację za długi, lecz jeden z sąsiadów, p. St. Boniecki, właściciel Potworowa, zapragnął pocziwie przyjść tu z pomocą, i zebrawszy między sąsiadami udziały po 3.000 rs., kupił Wir na licytacji i, trzy lata administrując majątkiem bezinteresownie, spłacił udziały i dobra oczyszczone z długu powróciły do dawnego właściciela. Niech Bóg płaci takie czyny dobre!

— Zmarły niedawno w mieście naszym Ludwik Steineke zapisał aktem ostatniej swej woli przez rejenta spisany: rs. 5.000 dla dziewcząt wychowujących się w instytucie S-go Kazimierza na Tamce. Summa ta stanowi obecnie dożywocie na rzecz siostry nieboszczyka zabezpieczone, lecz z jej śmiercią procenta od kapitału zostaną rozdzielone między wychowanki wspomnianego instytutu jako posagi, skoro za mąż wychodząc zaczną. Obok tego zapisodawca przeznaczył na kościół S-go Florjana na Pradze rs. 500; na reperacyę kaplicy loretańskiej w kościele po-Bernardyńskim w Warszawie rs. 200; takąż summa została zapisaną Domowi Schronienia dla rzemieślników. Zmarły był niegdyś niższym urzędnikiem a po usunięciu się z urzędu, gdy wysłużył już emeryturę, zszycwał, za skromną opłatą, papier w stowarzyszeniu Merkury. Umierając, liczył 82 lata.

— Zaczyn czyn miłości bliźniego i szlachetnie pojętego uczucia przyjaźni spełniony został. Paderewski za czasów przebywania swego w Warszawie żył w życzliwych stosunkach przyjaźni z muzykiem kompozytorem R., który, umierając, pozostawił wdowę i sierotę, dziewczynkę siedmioletnią. Paderewski, dowiedziawszy się o zgonie przyjaciela wystąpił ze szlachetną dla rodziny jego pomocą, ofiarując rocznie 1.000 rubli na wychowanie i kształcenie się sieroty, aż do chwili, gdy będzie mogła pracować na utrzymanie swoje. List napisany do wdowy uwiadomił ją o tem.

— Kommissya kolonizacyjna w Poznańskim nabyła od p. Nepomucena Niemojewskiego dobra Pogrzebowo z folwarkami: Stary i Nowy Rabczyn, Stare i Nowe Jelitewo, Sulisław i Walentykowo, położone w powiecie odolanowskim a mające obszar 11.000 morg. Zapłacono za ten kawał ziemi 1.670.000 marek. Taż sama kommissya nabyła od właściciela, Niemca, W. Solms, dobra rycerskie Rodziejowice z folwarkami Popowo i Przybysław, położone w powiecie inowrocławskim, a obejmujące 3.520 morg. obszaru, płacąc za nie 330.000 marek. Kommissya nabyła również od Niemca, Henryka Butle z Wykowa, dobra rycerskie Strzydzów, w powiecie pleszewskim, mające 1.150 morg obszaru za 190.000 m. Wszystkie te dobra, rozkolonizowane między Niemców katolików, utworzyć mają dwie parafie niemieckokatolickie, a leżą one w pobliżu granicy, obejmując razem 15.760 morg i nabyte zostały za sumę 2.190.000 marek.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołącza się Tom II, ark. 4-ty powieści pod tytułem: **Z biegiem fal**, przez M. Braddon, przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Agnieszka Helwich, przez M. Ilnicką. — Kwestya kobieca, przez M. I. — Alfred de Vigny. Butelka w morzu, przez Miriama. — Kobieta w starożytnym Rzymie przez Józefę Żdzarską. — Pierwszy występ nowella Sewera (dalszy ciąg). — Z Anglii, przez Henryka. — Juliusz Słowacki w Egipcie, przez Ferdynanda Hösicka (dokończenie). — **Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 4-ty T. II, **Z biegiem fal**, powieść, przez M. Braddon. — 36 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 9 Февраля 1894 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.